

Bardzo młoda mama to też mama

pożegnanie - powitanie

*tego lata najważniejsze było bikini:
krągłe miseczki uwypuklały
u dziewczynki
niecierpliwe wygląkanie kobiety*

*górski strumień przeskakiwał
z kamienia na kamień
wesoło opryskując przybrzeżną zieleń
i kochające się w powietrzu ważki*

*zimno zagarnęło stopę
zwielokrotnionym mrowieniem w górę
z góry odpowiedziało
niespodziewaną falą ciepła*

*dziecinne zaskoczenie:
po mroczniejszej stronie uda
łaskocząc płynęła
jeszcze tętniąca tlenem czerwień*

(Zurich, 19.7.2000, publikacja w "Odrze", 1.2006)

Jedna z moich przyjaciółek opowiadała mi kiedyś, że gdy któregoś razu po raz pierwszy zauważyła krew na swojej bieliźnie i z przerażeniem nie mniejszym niż słynna Carrie Stephens Kinga pobiegła z tym do swojej mamy, to... zaliczyła sążniste policzki. Matka tak rozumiała pasowanie na kobietę. Jak matka matki, i matka matki matki... Zgodnie z odwieczną tradycją.

I — zgodnie z odwieczną tradycją — matka ani myślała ją uświadomić, za to zakazała pod groźbą obdarcia ze skóry, dozgonnej utraty czci i zhańbienia honoru całej rodziny po siódme pokolenie — zadawania się z chłopakami. Z tym rezultatem, że moja przyjaciółka już w wieku 19 lat urodziła z wpadki swoje pierwsze (zdrowe i udane) dziecko. Zgodnie z rodzinną tradycją, sama też przecież zawitała na świecie z przedmałżeńskiej wpadki swoich rodziców.

Dalej potoczyło się jak w wielokrotnie powielanym scenariuszu. Wczesne zamażpójście, drugie dziecko, rozwód z dwojgiem małych dzieci, kolejna miłość, kolejna wpadka, szybkie zamażpójście w późnej zaawansowanej ciąży, narodziny (zdrowego i udanego) dziecka i oto mamy szczęśliwą patchworkową rodzinę jakich dziś wiele... tak właśnie wygląda życie, nie liczy się z tym jak być powinno, ale jest jakie jest.

Niedawno moja przyjaciółka opowiedziała mi, że swoją w międzyczasie dwunastoletnią córeczkę przyłapała w łóżku z jej szkolnym kolegą. Oboje byli prawie nago.

— A wie co jest do czego? Uświadomiłaś ją?
— No coś ty, Ela! Przecież to jeszcze dziecko!

No, to wesołego alleluja! Siła tradycji ma się dobrze! Jak będzie z tego kolejne pokolenie, to będę ją pocieszać, że jeśli matka i dziecko mają się dobrze, to już jest bardzo dobrze, a co się stało źle, to już i tak się nie odstanie.

I tu spójrzmy prawdzie w oczy, bo statystyki są nieubłagane. Wraz ze wzrostem dobrobytu, lepszym odżywianiem i zdrowiem, z wszechobecnym rozseksualizowaniem społeczeństwa, z opanowaniem sfery seksu przez komercję, z łatwym dostępem do portali erotycznych w Internecie, wiek inicjacji seksualnej znacznie się obniżył.

Jeżeli prawie jedna czwarta dziewcząt rozpoczyna życie seksualne poniżej 15-go roku życia, to po pierwsze znaczy to, że — z punktu widzenia natury — jest już na tyle dojrzała, po drugie, że możemy mieć tyleż ciąż u bardzo młodych dziewcząt.

Jeżeli nie ma ich aż tyle, to tylko dlatego, że nie każdy stosunek płciowy kończy się ciążą, a jeśli, to nie każda ciąża kończy się porodem. Niektóre kończą się poronieniem. Poza tym szara strefa aborcyjna skądś się przecież bierze, a w niej zawiera się zapewne szara strefa usuwania ciąż u dziewczynek — jeśli tylko przyznają się swoim rodzicom wystarczająco wcześnie a rodzice zadbają o to.

Jeżeli jednak jest ciąża i jest dziecko, to po pierwsze nie ma się co dziwić, dziewczęta dojrzewają wcześniej, mogą więc wcześniej zaczynać, po drugie trzeba zmienić prawo dyskryminujące młode matki (i młodych ojców), i po trzecie trzeba edukować nie tylko dzieci, ale i rodziców, jak uświadamiać dzieci, bo tu leży pies pogrzebany, tradycja!

I po kolei punkt po punkcie:

1. Podawanie w mediach w atmosferze skandalu wiadomości o urodzeniu dziecka przez trzynastolatkę uważam za wysoce szkodliwe, ponieważ piętnuje młodych rodziców zapewne i tak już przerażonych sytuacją, która ich spotkała i która ich przerasta. Jeżeli już się oburzać, to na dorosłe społeczeństwo, bo to ono ma chronić swoje dzieci przed niechcianymi przedwczesnymi ciążami.

2. Prawo mówiące, że życie seksualne z osobą poniżej 15-go roku życia jest występkiem, jest prawem rozbiegającym się życiem. Rzeczywistość wygląda inaczej i prawo musi się liczyć z rzeczywistością, jedna czwarta dziewcząt i jedna trzecia chłopców poniżej 15-go roku życia ma za sobą pierwsze doświadczenia seksualne, punkt!

3. Szkoły powinny wprowadzić jak najszybciej obowiązkową edukację seksualną i to nie tylko dla uczniów, ale też, a nawet przede wszystkim dla ich rodziców, żeby przełamać tradycję nieuświadamiania dzieci przez tych, którzy sami byli nieuświadamiani i w związku z tym nie wiedzą jak się do tego zabrać.

Mamy warsztaty lepienia ciastek, rozdmuchiwanie marzeń, chodzenia po rozżarzonych nożach, to tym bardziej powinniśmy mieć warsztaty rozmawiania z dziećmi "o tych rzeczach", w przeciwnym razie dzieci porozmawiają z nami i mogą nam powiedzieć bardzo zaskakujące rzeczy.

I powiem więcej, edukacja seksualna w szkołach, to absolutne minimum. Dzieciom nie wystarczy powiedzieć, to nie wystarczy nawet wielu dorosłym, przecież wpadki i niechciane ciążę zdarzają się przede wszystkim dorosłym, a ci już niby powinni wiedzieć, że jak jest przyczyna to jest i skutek. Dzieci trzeba w życie umiejętnie wprowadzać. Z wycuciem prowadzić za rękę. Wiedzieć, co się z nimi dzieje. Poświęcać im mnóstwo czasu i uwagi.

Opowiem wam, jak robiła to moja mama, bo — wiem to dziś — robiła to wzorcowo. Opowiem nie po to, żeby epatować moim życiem intymnym, ale żeby wskazać, jak to może się odbywać. Tak samo jak moja przyjaciółka (i zapewne wiele dziewcząt z mojego pokolenia), też potrzebowałam dobrych osiemnastu lat, żeby dorosnąć do (w miarę) dojrzałej miłości z seksem włącznie. I też, podobnie jak ona, bardzo wcześnie wyszłam (po raz pierwszy) za mąż.

Ale weszłam w dorosłe życie dość dobrze przygotowana teoretycznie i zabezpieczona przed niechcianą ciążą nader praktycznie. Na sicher. Mama zawsze dużo ze mną rozmawiała, na wszystkie możliwe tematy. Nic więc dziwnego, że i temat "skąd się biorą dzieci" przewijał się w naszych rozmowach w sposób naturalny.

Widocznie mama gdzieś wyczytała, że należy zacząć od motylków, bo tak właśnie zaczęła (mówię przecież, że robiła to "wzorcowo"). Mogłam mieć jakieś 4 i pół, 5 lat i właśnie nauczyłam się pisowni trzech drukowanych liter "E", "L" i "A". I wszędzie, gdzie popadło pisałam kredą lub ryłam jakimś ostrym narzędziem moje pierwsze pisane słowo: ELA.

W okolicy, gdzie mieszkałam, napisałam słowo ELA dziesiątki, setki, tysiące razy... od kina Wanda po sam Wawel. Właśnie kończyłam rycie monsturalnego ELA na murze od naszego balkonu, gdy nagle zauważyłam dwa baraszkujące ze sobą motylki. Tak mnie to zaabsorbowało, że o mały figiel nie wypadłam z balkonu, mama zdążyła mnie złapać za fraki w ostatniej chwili.

I żebym nie próbowała latać za motylami z drugiego piętra ponownie, wytłumaczyła mi, co też one ze sobą robią. Pamiętam do dziś mój zachwyt, "a to dopiero, więc to nie jest żadna zabawa!", spotęgowany tym, że ominęło mnie tłumaczenie się ze zrujnowania muru na balkonie "no, tym razem mi się upiekło, dzięki, motylki!".

Odsłona następna to ciągle jeszcze okres przed-szkolny. Stajnia (w tej sytuacji chciałoby się nawet powiedzieć "stajenka"). Jesteśmy u dziadków na wsi, jest późny wieczór, wszyscy dorośli są podenerwowani, bo ma się urodzić cielę. Podenerwowani są również i tym, że chcę przy tym być i mama to popiera. Spór rodzinny kończy się niechętnym przyzwoleniem.

Dziadek, babcia i wujek krzątają się przy świetle lamp naftowych wokół krowy, my z mamą stoimy z boku, mama mi wszystko tłumaczy. Nagle wujek zatapia rękę po samą pachę w krowę i wyciąga kopytko, przez chwilę z krowy wystaje samo kopytko, okapujące jakimś śliskim śluzem, ale jakie śliczne, doskonałe.

Za kopytkiem wydobywa się z krowy całe cielątko. Wypada na słomę i gramoli się niezdarnie. Krowa ogląda się za siebie. Jest zmordowana ale wyraźnie szczęśliwa, wyciąga jęzor, próbuje lizać swoje nowonarodzone dziecko, bo jest całe mokre, ale nie może go dosięgnąć. Tymczasem cielaczek usiłuje stanąć na nogi i zbliżyć się do języka swojej mamy. W końcu mu się udaje. Jest rozkoszny.

Chyba pobekuje, ale tego nie pamiętam. Pamiętam tylko ten niezwykły obraz w słabym migoczącym świetle lamp naftowych. W każdym razie nie mam żadnych wątpliwości, dzieci biorą się z brzucha.

Mijają kolejne dwa lata, mam dobre 8 lat, umiem czytać i pisać, jestem już absolwentką drugiej klasy szkoły podstawowej, zaczęły się wakacje i znowu jesteśmy z mamą na wsi, pełna swoboda. Mam kilka koleżanek i kilku kolegów w różnym wieku, z którymi znikam na całe godziny. To trochę niepokoi mamę. Wiele lat później wyznała mi, że właśnie dlatego postanowiła mi już wtedy powiedzieć, skąd w brzuchu biorą się dzieci.

Leżymy w ciemności obok siebie, cisza, cały dom, cała wieś śpi, łóżko pachnie sianem, tato został w Krakowie, pracuje. Mama wyjaśnia mi jego rolę w moim zaistnieniu. "Ach, więc to takie buty, dlatego wszyscy mówią, że mam jego nos i usta." Długo wypytyuję mamę o szczegóły, oczywiście wielu mi nie zdradza, ale dowiaduję się i tak zdumiewających rzeczy. Ekscytujące.

Na następny dzień mama pomaga mi w kąpielu w balii na ganku. Drążę temat dalej.

— No, dobrze, mam, to już wiem, jak się robi dzieci, ale jak się robi, żeby nie było dzieci?

Naprawdę zadałam wtedy to pytanie. Skąd mi przyszło do głowy? Pamiętam, jak się mama roześmiała.

— Powiem ci, jak przyjdzie czas.

I powiedziała. W odpowiednim czasie. Ale najpierw kolejna scenka. Tym razem leżymy razem na tapczanie w naszym krakowskim mieszkaniu. Mam jakieś 11 lat. Zanim przejdę na swoją kanapkę bawimy się w zabawę

słowami, to nasza częsta zabawa. Mama mówi jakieś słowo a ja mówię jego znaczenie, jeżeli nie wiem, mama mnie naprowadza, wyjaśnia.

— Laryngolog? Pediatria? Dermatolog? Kardiolog?

Wiem, wiem, wiem, wiem...

— ...Ginekolog?

A to co za zwierzę? Nie wiem!

A coraz niecierpliwiej wyglądam w sobie kobiety, więc dobrze, żebym wiedziała... I już wiem!

Siedem lat później, wiosną 1972 roku, jestem zakochana i mama jest ze mną w Szarej Kamienicy w krakowskim Towarzystwie Świadomego Macierzyństwa, róg Rynku i Siennej. Naradzamy się z naszą panią ginekolog, dr Jadwigą Beaupre. Ze Szwecji można sprowadzić minispiralkę dla kobiety, która jeszcze nigdy nie rodziła (bo zwykle montuje się spiralki kobietom po porodach). Będzie bolało, ale warto, bo jeżeli nie będzie komplikacji ma się święty spokój.

Bolało i było warto (bolało tylko raz, bo kolejne razy robiłam to już w Szwajcarii pod króciutką narkozą, poza tym zawsze "między nami kobietami"). Nie do przecenienia jest komfort kochania się bez lęku przed niechcianą ciążą! Pewnie też dlatego ominęły mnie wszystkie te bóle okołomenstruacyjne i inne przykrości. Żadnego stresu, żadnych skurczów. Co za luksus! A że nigdy nie chciałam mieć dzieci, to i nie mam.

Z forów dyskusyjnych nastolatków w ciąży i młodziutkich matek wynika, że wiele z nich po pierwszym szoku chce mieć swoje małeństwo, cieszy się na nie. Że najbardziej boli je ta okropna atmosfera wokół ich zbyt wczesnej ciąży. Że mówi się o nich "dzieci mają dzieci", choć przeszły ciążę, poród i właśnie zostały matkami, chcą więc, żeby tak je traktowano.

No, tak, to prawda, że nie utrzymują się same, nie zdobyły jeszcze żadnego zawodu. Ale mogą to zrobić. I robią. Że do tego potrzebna im pomoc rodziców i społeczeństwa? A studentkom-matkom nie jest potrzebna? Różnica jest taka, że matki-nastolatki nie mają prawa do swoich dzieci, przydziela się im kuratora jak nieletnim przestępcom, a one potrzebują wsparcia, ale nie ubezwłasnowolnienia.

Jeszcze gorsza jest sytuacja bardzo młodych ojców. Jeśli ich dziewczyna ma mniej niż 15 lat a oni sami więcej, ściga ich policja, grozi im kara więzienia. A przecież nie wszyscy wypierają się swojego dziecka. Niektórzy z nich mogą być odpowiedzialnymi kochającymi ojcami. Chcą i mogliby wspierać swoje nowopowstałe rodziny. Penalizacja wpadki stawia ich poza taką możliwością.

Tymczasem tych młodych ludzi należy przede wszystkim wesprzeć, bo właśnie przechodzą proces przyspieszonego dojrzewania i bo właśnie przyszło na świat nowe dziecko, które potrzebuje mocnych psychicznie, zharmonizowanych z sytuacją i społeczeństwem rodziców.

Nie widziałam filmu "Juno" opowiadającym o tym, że to może się udać, ale wiem, że rozpoczął w świecie debatę na ten temat. Debatę, która musi się odbyć i odmienić nasz stosunek do seksualności naszych dojrzewających dzieci. To naprawdę poważny temat. I bardzo poważne mogą być skutki jego zaniedbania.

<http://www.youtube.com/watch?v=toGjCaTIkfo>

Oczywiście, że może być tak jak opisuje to Stephen King w swojej autobiografii: "Po trzech latach od ślubu mieliśmy już dwójkę dzieci. Nie były one zaplanowane czy nieplanowane. Po prostu się zjawiły i cieszyliśmy się z

ich przybycia." Ale nawet jeśli nie jest tak idealnie, każdy ma prawo cieszyć się z przybycia swoich dzieci na świat, więc lepiej, żeby nie pojawiały się jak popadnie.

Całe życie jesteśmy istotami seksualnymi, od kołyski po grób. Najwyższy czas przełamać tradycję traktowania seksualności jakby wyskakiwała niczym diabeł z pudełka w dniu naszych 18, 19, czy 20 urodzin, a jeśli pojawi się w młodziutkim ciele, to udawać zaskoczenie, bo to przecież "dziecko jeszcze". Dziecko staje się kobietą/mężczyzną i robi swoje pierwsze doświadczenia seksualne, jak się to odbywa i co z tego wynika zależy od tego, jak będzie przez świat dorosłych krok po kroku prowadzone.

* * *

Artykuł pierwotnie napisany dla Racjonalisty gdzie jest też dyskusja.